

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

marzec 2006 r.

Nr 3 (36)



1. Z KART PRZESZŁOŚCI  
– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. ZE WSPOMNIENÍ  
– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z DZIEJÓW KONINA  
– artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA  
– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. NASZYM ZDANIEM  
– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. INSPIRACJE KULTURALNE  
– poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z ŻYCIA TPK  
– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. BARWY CODZIENNOŚCI  
– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



## Zaryzykuję powitanie wiosniane – może zdążymy się ukazać

Kolejny raz muszę Państwa przeprosić za niezbyt przewidywalne ukazywanie się „Koninianów”, ale proszę mi wierzyć, sprawa jest bardziej skomplikowana niżby się to na pozór wydawało. Kolejny raz wyjaśniam, że żaden z redaktorów piszących w „K” nie otrzymuje gratyfikacji, wierszówek, nagród, tantem etc.

Wszyscy składają również swoje materiały w przewidzianym czasie, albo grubo wcześniej. Nie zalegamy „Przeglądowi Konińskiemu” absolutnie z żadnymi opłatami – bo „PK” nigdy takowych od nas nie otrzymywał, zresztą nawet nie

żądał. Więc co? Ano nie! „Przegląd” musi najpierw zarobić na swoje utrzymanie a dopiero potem „bawić” się w filantropa w stosunku do „K”. Tak więc drodzy, PT Czytelnicy, sprawa jest natury tyleż prozaicznej, co jednak zasadniczej. A teraz pozwólcie, że przejdziemy ad rem meritum.

Janusz Gulczyński przepięknie wpisuje w krajobraz miasta postać Tadeusza Kościuszki. Okazuje się, że ten najslawniejszy bohater narodowy towarzyszy Koninowi od bardzo dawna aż po dzień dzisiejszy. Występujące w artykule dygresje nadają opisywanej historii soczystości i kolorytu. Potraktować należy jako lekturę obowiązkową.

Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) trzyma rękę na pulsie konińskich

wydarzeń i pisze o ważności przepraw przez rzeki. Sięgnięcie do „przypowieści polskich” z czasów Zygmunta III Wazy, wyjątkowo trafnie oddaje nasze narodowe cechy: permanentna niemożność i guzdralstwo, żeby użyć słów tylko cenzuralnych.

Kończymy również teksty pp. Sznajdra (Andrzejewski), Grundmana i Rybczyńskiego. Sami Czytelnicy niech osądzą, jak trudno nieraz pomieścić teksty – a chcielibyśmy dostarczać jak najwięcej informacji.

Zaczyna pomaleńku robić się coraz cieplej, więc Marysia Cieślak z ukochanym wnuczkiem wznawia spacer po Starówce – tym razem opowiada mu o swoim przedszkolu w dworku Urbanowskiej. Natomiast „Wiosenne przebudzenie” Danusi Olczak dedykujemy doktorowi Fa-

bianowi Frankiewiczowi (wraz ze wszystkimi kwiatami, które w tym przepięknym i niepowtarzalnym okresie zakwitają na łąkach) za jego bogatą twórczość. Zapraszam również Czytelników do zapoznania się z wywiadem pokazującym doktora jakiego pewno nie znamy, a wielka szkoda. Mirka Dimitrow na chwilę zdradza pisarstwo, aby przypomnieć stareńki, ale wciąż piękny pałacyk Raymonda.

Chciałbym również przypomnieć naszym poetom, że pewno już czas ostrzyć pióra przed XXVI Konkursem Poetyckim o statuetkę Miłowego Słupa. W kwietniu przypomnimy regulamin konkursu.

PS. Jak informuje Włodek Kowalczykiewicz, ostatnie odwiedziły w Internecie mieliśmy aż z Singapuru.

Serdecznie pozdrawiam  
Stanisław Sroczyński

## Uroczystości kościuszkowskie z 1917 roku



Tablice na ścianach najstarszej kamienicy w mieście, tzw. Domu Zemełki, przy pl. Wolności stanowią pamiętki konińskich, historycznych wydarzeń XX wieku. Każda z nich to osobliwa lekcja historii, związana z lokalnymi dziejami, przypominająca wydarzenia i wielkie postaci narodowych dziejów. Ślady po karabinowych pociskach w ścianie wiążą się z pierwszym okresem okupacji hitlerowskiej w Koninie. 22 września 1939 r. zamordowano tutaj w publicznej egzekucji Aleksandra Kurowskiego i Mordche Słodkiego. Obok wmurowano w ścianę tablicę upamiętniającą ofiary konińskich wypadków z 11 listopada 1918 r., owego pierwszego dnia wolności, który w naszym mieście, niestety, okryty został kirem żałobnym. Jest jeszcze tablica upamiętniająca nauczycieli z powiatu konińskiego zamordowanych w latach 1939-1945. A w ostatnich latach przytwierdzono dwie kolejne: ku czci Papieża Jana Pawła II i upamiętniająca znanego konińskiego regionalistę – Antoniego Studzińskiego.

Jest to miejsce przy pl. Wolności czymś szczególnym, odbywają się tam corocznie obchody świąt państwowych i niewątpliwie stanowi konińskie, symboliczne quasi-mauzoleum. Nie chciałbym popaść w zbyt niemiły patos, ale naprawdę bije mocno serce, kiedy przechodzi się obok ścian Domu Zemełki. Przed wojną, wewnątrz, w ówczesnej Szkole Handlowej znajdowała się jeszcze jedna

pamiętkowa tablica, uroczystie odsłonięta przez marszałka Józefa Piłsudskiego, w czasie wizyty w Koninie 10 lipca 1921 r. Tablica upamiętniała ucznia szkoły Władysława Michałaka, żołnierza-ochotnika, który zginął pod Oranami na Wileńszczyźnie. Nie ma, niestety, już tej pamiętki historycznej, przeszedłem wzdłuż i wszerz budynek obecnych biur geodezyjnych w Domu Zemełki, lustrowałem dokładnie ściany i nie znalazłem.

Ale nic to... Powyższe dwa akapity proszę traktować jako wstęp do głównych dzieł historycznych rozważań skierowanych do „Koninianów”, bo chcę aktualnie napisać o nie wspomnianej tutaj jeszcze, a najstarszej tablicy na Domu Zemełki, pamiętając z 1917 r. czczącej Tadeusza Kościuszkę, wmurowanej bezpośrednio nad głównymi drzwiami wejściowymi.

Parę słów odnośnie tła historycznego. Okres I wojny światowej 1914-1918 r., Wielkiej Wojny – jak wówczas ją określano. Od jesieni 1914 r. w mieście i regionie stacjonowały wojska niemieckie, które wyparły stąd będące przez sto lat wojska rosyjskie.

Od 1915-1916 r. działały patriotycznie nastawione drużyny harcurskie, zakonspirowane oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej, potęgowały się nastroje niepodległościowe. W październiku 1917 r. w całej niemal

Polsce organizowano uroczystości kościuszkowskie, związane z setną rocznicą śmierci naczelnika powstania 1794 r., przypadającą 15 października. W Koninie postanowiono ufundować pamiętkową tablicę z napisem „Tadeuszowi Kościuszce 1817-1917”. Zadziwiająco, że na uroczystości i manifestację tysięcy koninian na ówczesnym Rynku (pl. Wolności) wyraziły zgodę lokalne władze pruskie, ale można to łatwo wytłumaczyć uprawianiem gry propagandowo-politycznej i wzniecaniem nastrojów antyrosyjskich.

Na manifestacji przed Szkołą Handlową zebrały się związki, stowarzyszenia, cechy rzemieślnicze, oprawą organizacyjną i służbą porządkową zajęli się strażacy, członkowie miejscowej Straży Ogniowej. Uroczystość miała patriotyczno-religijny charakter, podniosłymi słowami raczył zebrać proboszcz kościoła i parafii św. Bartłomieja



Tym razem jako patron I LO

(nb. późniejszy ordynariusz i biskup łódzki) ksiądz Włodzimierz Jasiński. Na frontonie budynku powieszono portret T. Kościuszki, a odsłoniętą tablicę udekorowano kwiatami i gałązkami świerczyny.

Wieczorem w kinoteatrze „Polonia” zaprezentował się teatr amatorski z przedstawieniem według sztuki W. Anczyca „Kościuszkę pod Raclawicami”. Zaproszenie na imprezę po-

daje program: *Kościuszkę pod Raclawicami, 4 obrazy historyczno-ludowe* [...]. Słowo wstępne wygłosi Stefania Essowa [...].

Pod tą informacją podano obsadę aktorską. Udział w przedstawieniu wzięli co znamienitsi, patriotycznie nastawieni obywateli miasta, np. członkowie Towarzystwa Wioślarskiego, Koła Muzycznego itp. W roli Kościuszki wystąpił W. Biskupski, w rolę Filipa Nereusza Lichockiego (prezydenta miasta Krakowa) wcielił się Eugeniusz Sikorki (w listopadzie 1918 r. na krótko wybrany pierwszym burmistrzem Konina). W innych rolach wystąpili – znany peowiak, wspomniany już na wstępie – Aleksander Kurowski, Wincenty Grętkiewicz (w latach 1934-1939 burmistrz Konina); w roli Barbary, żony Bartoza Głowackiego, zaprezentowała się Stefania Esse.

Przedstawienie w kinoteatrze „Polonia” urządzone zostało z dużym rozmachem. Program uroczystości mówi o licznej rzeszy statystów (lud krakowski, wojsko polskie, wojsko rosyjskie). Ponadto zawiera informację: [...]. *Jurządzenie gmachu teatralnego, sceny i dekoracje wykonane staraniem grona miejscowej młodzieży* [...].

W uzupełnieniu można dopowiedzieć, że podobne uroczystości patriotyczne odbyły się w październiku 1917 r. w innych miastach regionu. Dla przykładu: tablice kościuszkowskie przytwierdzono do zewnętrznych murów kolskiej fary i kościoła św. Wawrzyńca w Słupcy. Podobnie jak tablica na Domu Zemełki w Koninie upamiętniają one Tadeusza Kościuszkę do dzisiaj.

Janusz Gulczyński



# Drogi, mosty i kolasy

Myślimy o nowej przeprawie przez Wartę. Nie promem, ani łodzią, lecz mostem. Nowym mostem usprawniającym komunikację samochodową między północnymi i południowymi dzielnicami Konina.

Drzewiej Warta też stanowiła przeszkodę drogową, i to jeszcze bardziej niż teraz. Przez setki lat w miesiącach jesiennych, jak i wczesnymi wiosnami, wysokie wody rzeki utrudniały wydostanie się z miasta w kierunku północnym. Radykalna poprawa komunikacyjna nastąpiła dopiero w latach dwudziestych XX w., po uruchomieniu połączenia kolejowego między Strzałkowem a Kutnem. Mimo tego, że stacja została zlokalizowana na gruntach położonych za miastem, przystanek nazwano Koninem. Przez to dawna grobla, zwana czarkowską, po podwyższeniu

nasypu, zmieniła się w ulicę miejską wybrukowaną granitową kostką.

Jeśli sięgniemy po książkę „Przypowieści polskie” napisaną w czasach króla Zygmunta III Wazy, znajdziemy w niej takie zdanie „Polski most, niemiecki post, cygańskie małżeństwo – wszystko to blażeństwo”. Co to zdanie znaczy? Autor chciał przez jego treść scharakteryzować ówczesny stan dróg i mostów w Rzeczypospolitej.

Bagna, jeziora i rzeki utrudniały połączenia lądowe między miastami. W Wielkopolsce też lepiej nie było. Patrząc na dawne mapy jej wschodnich obszarów oglądamy jezioro w Wyszyńcu otaczające zamek i wieś. Widzimy, że dolina kramska była pod wodą. A jeziora Pątnowskie, Gosławskie, Mielno i Licheńskie tworzyły wspólnotę. Trzebież lasów oraz zakładanie nowych osad wiejskich wpłynęły na opadanie wód jeziornych. Powiększały się obszary bagienne, łatwiejsze do wyznaczenia dróg lądowych. W wąskich przesmykach sypa-

nych obręczy. Wozy zwano kolasami. Ich późniejsze egzemplarze, nieco mniejsze od poprzedniczek, ale za to z obręczami stalowymi, zwano kolaskami. Nie miały żadnych udogodnień dla woźniców poza snopkiem słomy służącym za siedzisko.

Kolasy i kolaski dostosowane do specjalistycznego transportu nazywano brykami i skarbnikami. Bryka to wóz z pałkami obciążonymi skórą lub płótnem. Skarbnik, to drewniana, okuta żelazem skrzynia na kołach. Służyła do przewozu kupieckich towarów, wojennego uzbrojenia lub pieniędzy ściąganych z podatków. Wozy takowe najczęściej były czterokonne i ich przejazdem towarzyszyli uzbrojeni pachołkowie.

Za czasów Władysława Jagiełły zaczęły się pojawiać pałuby. Niespotykane dotąd pojazdy. Mówiąc językiem współczesnym – z nadwoziem uplecionym z wikliny. Objano je wewnątrz płótnem, obwieszano kobiercami i moszczono poduchami kładzionymi na ławkach. Jednakże takie wozy nie były zbyt wygodne dla podróżnych. Stąd w ich miejsce zaczęto wprowadzać pojazdy zwane kolebkami. Jak

piszą kronikarze, miała nimi podróżować królowa Jadwiga. Kolebki były zawieszane na łańcuchach lub skórzanych pasach. Poza Jadwigą podróżowały nimi jej damy dworu oraz małżonki późniejszych królów polskich. Sierdził się na to żyjący za czasów Zygmunta III Wazy ksiądz Piotr Skaruga Powęski, groząc w swoim kazaniu „...pychę tę Bóg poniży pogańską niewolą, w której zamiast złotych kolebek na kolaskach powłoką. Nie dziwota, że tak się gniewał, bowiem kolebki były szczytem wykwintności ozdabiania wnętrza. A w tych czasach za dyshonor uchodziła jazda mężczyzną, nawet starzym, w takich niewieścich powozach.

Po kolebkach przyszedł czas na karety, czyli karoce. Ich pudła były już oszklone i wbrew straszeniu niewolą pogańską, za czasów panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego (1669-1673), jeździli nimi magnaci, dygnitarze i posłowie z innych państw.

Takoci było drzewiej. Potem pojawiły się ciągnięte przez konie pojazdy, których w tym rozdziale wymienić nie jestem zdołen.

Tam gdzie drogi tam i pojazdy. Służyły one w dawnej Polsce nie do przewozu ludzi tylko do transportu towarów. Były budowane bez użycia gwoździ. Zastępowały je drewniane kołki. Koła też nie posiadały żela-

znych obręczy. Wozy zwano kolasami. Ich późniejsze egzemplarze, nieco mniejsze od poprzedniczek, ale za to z obręczami stalowymi, zwano kolaskami. Nie miały żadnych udogodnień dla woźniców poza snopkiem słomy służącym za siedzisko.

Kolasy i kolaski dostosowane do specjalistycznego transportu nazywano brykami i skarbnikami. Bryka to wóz z pałkami obciążonymi skórą lub płótnem. Skarbnik, to drewniana, okuta żelazem skrzynia na kołach. Służyła do przewozu kupieckich towarów, wojennego uzbrojenia lub pieniędzy ściąganych z podatków. Wozy takowe najczęściej były czterokonne i ich przejazdem towarzyszyli uzbrojeni pachołkowie.

Za czasów Władysława Jagiełły zaczęły się pojawiać pałuby. Niespotykane dotąd pojazdy. Mówiąc językiem współczesnym – z nadwoziem uplecionym z wikliny. Objano je wewnątrz płótnem, obwieszano kobiercami i moszczono poduchami kładzionymi na ławkach. Jednakże takie wozy nie były zbyt wygodne dla podróżnych. Stąd w ich miejsce zaczęto wprowadzać pojazdy zwane kolebkami. Jak

piszą kronikarze, miała nimi podróżować królowa Jadwiga. Kolebki były zawieszane na łańcuchach lub skórzanych pasach. Poza Jadwigą podróżowały nimi jej damy dworu oraz małżonki późniejszych królów polskich. Sierdził się na to żyjący za czasów Zygmunta III Wazy ksiądz Piotr Skaruga Powęski, groząc w swoim kazaniu „...pychę tę Bóg poniży pogańską niewolą, w której zamiast złotych kolebek na kolaskach powłoką. Nie dziwota, że tak się gniewał, bowiem kolebki były szczytem wykwintności ozdabiania wnętrza. A w tych czasach za dyshonor uchodziła jazda mężczyzną, nawet starzym, w takich niewieścich powozach.

Po kolebkach przyszedł czas na karety, czyli karoce. Ich pudła były już oszklone i wbrew straszeniu niewolą pogańską, za czasów panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego (1669-1673), jeździli nimi magnaci, dygnitarze i posłowie z innych państw.

Takoci było drzewiej. Potem pojawiły się ciągnięte przez konie pojazdy, których w tym rozdziale wymienić nie jestem zdołen.

Zygmunt Kowalczykiewicz



Serdecznie dziękujemy Prezydentowi Miasta za udostępnienie materiałów

## Tygodnie po wyzwoleniu dalszy ciąg wspomnień Stanisława Andrzejewskiego

Konin powoli przygotowywał się do wolności. Żołnierzy niemieckich umieszczono w kościele ewangelickim. Po tygodniu wyprowadzono ich w kierunku Koła. Około 15 jeńców w skarpetach, jeden w samej bieliźnie, przykryty workiem. Przyniesiono im jakieś zniszczone, zresztą za małe buty i tak pomaszewali.

Przez miasto ciągnęły nieprzerwanie kolumny wojska, zmotoryzowane jednostki, czołgi, ciagniki artyleryjskie, moździerze, osławione „katusze”, cysterny, sanitarki i kuchnie. Maszerował pułk z rozwiniętym sztandarem i orkiestrą. Za kolumnami pieszych jechały wozy taborowe, małe wózki i psie zaprzęgi, które służyły do wywożenia rannych z pola walki. Omijając żelazny zniszczony most, łakami po prawej stronie ciągnęły na trasę poznańską.

Na przełomie stycznia i lutego saperzy przystąpili do budowy mostu na Warcie. Prowizoryczny most wychodził na podwórze dzisiejszego sądu. Most żelazny na zalewie, po wybuchu, jednym przesłem, od strony Czarkowa, opierał się na ziemi zaś od strony Starówki pozostał na nienaruszonym filarze. Połączono brakujące przeszło drewnianą

konstrukcją, umożliwiając w miarę swobodny przejazd. Później po zachodniej stronie mostu żelaznego dobudowano most zastępczy.

Żołnierze regulacji ruchu usadowili się z radiostacją przy ul. Dąbrowskiego. Część wojska kierowano na trasę rzgowską, ale po naprawie mostów, gros oddziałów przemieszczało się przez ulicę miasta. Przyglądałem się temu przemarszowi z kolegą, Irkiem Bonikowskim. Irek kilka tygodni później zginął wraz z Białkowskim od niewypału za murem cmentarza ewangelickiego, manipulując przy granacie przeciwpancernym. Były i inne tragedie. Idąc przez błonia, w kierunku rynku, za strażą pożarną zauważyłem leżącą na śniegu postać w czerni. To nietutejsza Niemka znad Morza Czarnego. Mieszkała w okolicy ul. Kaliskiej. Jej synowie zginęli na froncie. Miała dość wojny i życia. Poprosiła żołnierza, aby ją zastrzelił. Ten, pewnie bez specjalnego oporu, spełnił życzenie. Poszedłem dalej. Nagle usłyszałem wybuchy, a nad dachami, jakby koło ratusza, strzelające w górę kłęby dymu. To palił się czołg, stojący na rynku. Sprawcami okazali się kompletnie pijani sami czołgiści. Wrak

długo stał na pl. Wolności.

Pijanych żołnierzy spotykało się na każdym kroku. Awanturowali się, strzelali w powietrze, często odbierali mieszkańcom zdobyczne mienie. Szczególnie niebezpieczni byli żołnierze z eszelonu wracającego z frontu. Sam z kolegami miałem możliwość zapoznania się z tymi wojakami. Zatrzymał nas jeden z bronią wycelowaną w naszą stronę – dawajcie złoto – na szczęście nie mieliśmy nic do zarekwirowania. Rozboje i pijaństwo ukrócono z chwilą, gdy w Koninie zaczęła działać wojskowa komenda miasta w domu Zemełki na pl. Wolności.

Różne były spotkania z „krasnarmiejcami”. Często zatrzymywali się na dłużej, kiedy ich pojazd wymagał jakiegoś remontu. Korzystając z przerwy, żołnierze posilali się wszystkim, co akurat było pod ręką do zdobycia. Widziałem, jak jeden z nich trzymał w jednej ręce śledzia, a w drugiej kostkę sztucznego miodu. Zajadał z apetytem. Innym razem moja mama wróciła z kościoła z rewelacją – wyobraźcie sobie, na mszy był Rusek!, w mundurze! Całą mszę pięknie się modlił. Ludzie nie mogli się nadziwić.

Już w lutym, za parkiem, usytuowa-

ła się eskadra lekkich samolotów zwanych „kukuźnikami”. Niebo, w tym czasie, pełne było lecących na zachód samolotów z czerwoną gwiazdą. Eskadra zza parku po tygodniu podążyła za nimi. Konin jeszcze raz przeżył wojnę. W marcu, działko przeciwlotnicze, stojące u wylotu ul. Kopernika, rozpoczęło kanonadę. Nad miastem na dużej wysokości ukazał się niemiecki samolot zwiadowczy, dwukadłubowy, zwany „ramą”. Syrena strażacka zaczęła wyć na alarm. Zwiadowca musiał odkryć cel, bo za chwilę samoloty niemieckie zbombardowały transport kolejowy z amunicją na stacji w Patrykowie. Stacja miała pecha. Pierwsze bomby spadły na nią już we wrześniu 1939 roku, na pociąg ewakuacyjny z poznańskiego.

Od opisywanych wydarzeń minęło ponad pół wieku, a ja przechodząc koło naszego ratusza, jeszcze dziś widzę tamtą, białoczerwoną flagę, którą ktoś bezimienny, wtedy, 20 stycznia 1945 r., już przed godziną 15, kiedy jeszcze toczyły się walki w mieście, wywiesił oznajmiając W o l n o ś ć!

**Stanisław Andrzejewski**  
PS Kończymy wspomnienia p. Stanisława. Apelujemy do starszych wiekiem czytelników „Koninianów”, może ktoś potrafi podać nazwisko osoby, która pierwsza w tym dniu zawiesiła „biało-czerwoną”!  
(opr. Jan Sznajder)

Anna Smolenko

**Pochwała małego miasta**

*Dobrze jest żyć  
w małym mieście  
wszędzie blisko  
do sklepów i szkoły  
nawet na cmentarz  
tu zna się  
dźwięk dzwonów  
z wszystkich kościołów  
w małym mieście  
za domami  
są tajemnicze ogrody  
z nich  
świergot ptaków  
budzi o świcie  
znajome koty  
spacerują ulicą  
psy woła się po imieniu  
znajomi ludzie  
wymieniają  
ukłony i plotki  
tu trochę lżejsza  
niż w metropoliach  
samotność  
dobrze jest żyć  
w małym mieście*

Pokłosie XXV edycji Konkursu Poetyckiego „Milowego Słupa”



Wywiady Stanisława Sroczyńskiego

## Poezja i medycyna

Oto co wiemy oficjalnie o doktorze nauk medycznych, specjalście w zakresie chorób płuc, panu Fabianie Frankiewiczu. Urodził się w Łądku. Studia medyczne ukończył w Łodzi. Od 1957 roku mieszka i pracuje w Koninie. Wiersze zaczął pisać już w okresie okupacji. Oprócz twórczości oryginalnej, od samego zarania pasjonuje się też twórczością translatorską. Przetłumaczył obie części Fausta oraz kilkaset wierszy Goethego, w tym wszystkie jego pieśni i ballady, prawie całą poetycką twórczość Schillera i Heinego oraz pojedyncze wiersze innych poetów z języka niemieckiego, angielskiego i łacińskiego. Napisał też 46 poematów opartych na tekstach biblijnych. Tyle suchy biogram, teraz zapraszam do rozmowy z żywym człowiekiem – legendą bardziej co prawda medycyny (zwłaszcza w Koninie) niż poezji... ale spróbujmy, zobaczymy co z tego wyniknie.

Stanisław Sroczyński: – Odnoszę wrażenie jakby Pan ze swoją poezją odrobił się w naszym mieście ukrywał – może się mylę, proszę sprostować.

Fabian Frankiewicz: – Trudno mi potwierdzić przypuszczenie, że w takim czy innym stopniu ukrywałem się ze swoją poezją. Moje pierwsze wiersze ukazywały się już w Liceum Ogólnokształcącym w gazetce szkolnej. Pisywałem je po trosze na zamówienie. Pretekstem bywały imieniny nauczycieli, bądź też inne szkolne uroczystości. W 1947 r. moje wiersze ukazały się publicznie w „Ładzie Bożym”. Od kilkunastu lat jestem też członkiem Unii Polskich Lekarzy Pisarzy, gdzie również jest wydawana moja twórczość.

SS: – Czy można zapytać, co jest ważniejsze według Pana – leczenie ciała czy duszy?

FF: – Według mnie ciało i dusza wzajemnie oddziałują na siebie i powinny być brane pod uwagę w równej mierze w procesie leczenia.

SS: – A może medycyna i poezja są tylko pozornie odległe? Może łączy je jakaś wspólna metafizyczna

idea – może to po prostu szukanie duszy w człowieku a Boga w poezji?

FF: – Osobiście nie dopatrywałbym się jakiegoś wyjątkowego związku między medycyną i poezją. Każdy zawód, zwłaszcza służący człowiekowi, może być źródłem poetyckiej inspiracji. Muszę jednak zauważyć, że zapal do pisania wierszy pojawił się u mnie dużo wcześniej niż chęć zostania lekarzem.

SS: – Czy pisanie jest dla Pana ucieczką od rzeczywistości, czy może relaksem?

FF: – Niechętnie zgodziłbym się z tezą, że w ogóle pisanie wierszy to ucieczka od rzeczywistości, wszak sama rzeczywistość wyzwala chęć do pisania.

SS: – Woli Pan tłumaczyć czy tworzyć – czy jest to równoznaczne?

FF: – Ważny jest temat. Jeżeli mam godny uwagi temat, to go wykorzystuję, jeżeli nie mam, to tłumaczę. Wychodzę z założenia, że lepiej jest przyswoić literaturze polskiej dzieła takich poetów, jak Goethe, Schiller, Heine, niż napisać jakiś mało znaczący wierszyk. Ktoś powiedział, że poetycki przekład nie jest ani odtworzeniem, ani prze-



Fabian Frankiewicz

tworzeniem, ale współtworzeniem. Poza tym, o ile w przypadku wersyfikacji Biblii zgodność z jej treścią jest warunkiem sine qua non, to w przypadku tłumaczenia z języka obcego, nie dotyczącego Biblii, tłumacz ma absolutną swobodę, stąd jest ono też tworzeniem, choć oczywiście nie całkiem oryginalnym.

SS: – Czemu w Pana twórczości tak duża fascynacja Biblią?

FF: – Dlatego, że w Biblii mamy do czynienia z najczystsza poezją. Żeby jednak była odczuta przez przeciętnego człowieka, musi być przetłumaczona nie dosłownie, lecz na język poezji jego narodu.

SS: – Wiem, że już gdzieś ujawnił Pan swój dorobek literacki. Czy można zdradzić gdzie i w jakich wydawnictwach?

FF: – Wspomniałem już, że najwcześniej moje wiersze ukazały się w „Ładzie Bożym”, w ostatnich zaś latach w wydawnictwie Unii Polskich Lekarzy Pisarzy, konkretnie w „Spectrum”, w „Zeszytach Literackich” oraz indywidualne wydruki w wydawnictwach „Artis” – T. Jankowskiego i w „Drukarni Braci Wielińskich” w Koninie.

SS: – Gdyby w encyklopedii chciano zapisać – Fabian Frankiewicz – to wolałby Pan określenie – lekarz czy poeta?

FF: – Myślę, że w moim przypadku, każde z tych pojęć ma swoją rację bytu.

SS: – Wiem również, że lubi Pan swoje książki wykonywać sam – od druku do składania, klejenia i oprawiania – czy to hobby, czy konieczność?

FF: – Niestety zwykła konieczność. Nie jestem w stanie wszystkiego wydać. Pragnę więc choć tym sposobem uchronić owoce mej pracy od zapomnienia.

SS: – Serdecznie dziękuję Panu Doktorowi za cierpliwość oraz za do głębie i szczerze wypowiedzi.

Nie czując się predystynowanym do oceny twórczości mojego rozmówcy, pozwolę sobie na zakończenie wywiadu przytoczyć parę opinii znanych i uznanych autorytetów oraz krytyków literackich:

Z.T. Łączkowski: – (...)jak piękniej dziękuję za Księgę Wyjścia. Podziwiam Pana Doktora za tak niezwykłą pracę i bogacenie kultury. Ściskam ciepło dłoń.

Prof. dr hab. Lech Słowiński z Zakładu Metodyki Nauczania Języka Polskiego i Literatury UAM w Poznaniu: – Drogi Fabianie! Zaskoczyłeś mnie Twoim imponującym dorobkiem pisarskim, który świadczy nie tylko o Twojej niezłomnej pracowitości, lecz także o pełnej kompetencji w zakresie podjętego tematu. (...) Z pewnością zasługują one na podziw i uznanie. Mają niewątpliwie dużą wartość literacką i winny być jak najszerzej upowszechniane.

Danuta Kiinstler-Langner (poetka, krytyk literacki, profesor literatury na Uniwersytecie w Toruniu): – (...)Jak Pan wie, zawodowo i prywatnie interesuje mnie recepcja Biblii w literaturze polskiej, a szczególnie Księga Hioba i Pieśń nad Pieśniami. (...) gratuluję Panu tak szerokich i niezwykłych zainteresowań – serdecznie pozdrawiam.

Ks. prof. dr hab. Jan Kanty Pytel, kierownik Instytutu Nauk Biblijnych – list rekomendacyjny do Wydawnictwa Pallottinum: – Przesyłam ogólną ocenę Księgi Mądrości i Psalmów w tłumaczeniu p. F. Frankiewicza. Oba przekłady mają charakter poetycki i parafrazy. Oceniam je wysoko od strony merytorycznej i poetyckiej. Cenna jest w przekładach wierność w relacji do oryginału, piękne słownictwo, wycucie sacrum. Uważam, że Tłumacz może cieszyć się owocem swej pracy i z powodzeniem ubiegać się o wydanie tłumaczeń.

PS. Jeszcze raz sprawdza się porzekadło „cudze chwalicie, swego nie znacie...”

Stanisław Sroczyński



## Wiosenne przebudzenie

Zanim nadejdzie Wiosenne Przebudzenie, niewidzialny zegar powoli zaczyna wskazywać Godzinę Powrotu. Najpierw zaczyna się coś dziać w „środku”. Jakiś nowy dźwięk, radosny impuls, wołanie. Dotknięte tajemniczym nakazem, żywiej zaczynają krążyć soki. Delikatnie pęka skorupa zimowego snu...

Drzewa wiedzą, że Nadchodzi Czas. A człowiek? Człowiek budzi się wolniej. Jest zmęczony nadmiarem informacji i własnym lękiem. Nieco później niż drzewa i ptaki przyznaje się do radości. Oszołomiony, zdziwiony, zaczyna sobie przypominać Odwieczny Rytm Ziemi – stały, niezmienny, mający zawsze sens, zachowujący równowagę na wadze życia i śmierci, wyznaczający czas zasiewu i czas zbierania plonów. To on – Święty Rytm Natury nieustannie przypomina, że Stanowimy Całość...

Powraca Wiosna! Człowiek wypuszcza nowe liście postanowień, marzeń i obietnic. Mocniej uderza serce. Rozkwita uśmiech. Zwiększa się potrzeba wyrażania siebie. Do codzienności dodajemy odrobinę zachwyty, szczyptę poezji. Maria Pawlikowska

-Jasnorzewska wyznaje: *Wciąż coś zakwita, przekwita. / Wczoraj kwitło moje serce. Dziś jaśmin.* Bruno Schulz napisał: *Nikt nigdy nie zgłębił zamysłów wiosny.* To prawda. Wiosna odmienia ludzi, odmienia drzewa, wzrusza, otwiera Tajemnicze Drzwi Dobra. Zaczynają się Wielkie Porządki – układanie spraw ważnych i mniej ważnych, odświeżanie myśli, trzepanie zakurzonych teorii. Od wibracji ptasich głosów, zapachu świeżej zieleni i nadmiaru błękitu dosłownie kręci się w głowie. To Czas Radości! Drzewo umie cieszyć się każdą chwilą, słońcem i deszczem, dotykiem dłoni człowieka, spojrzeniem obłoków. Szumiąc, opowiada swoją historię jak z małej drobiną stało się potężnym drzewem. Człowiek też ma swoją historię – każdy inną, a wszystkie są wpisane w Okrąg Czasu. Porozmawiaj z drzewem chociaż jeden raz. Nie masz pojęcia, jak ono potrafi słuchać, ile ukrytych darów ma dla ciebie...

Naprawdę powraca Wiosna! Uśmiecha się do kwiatów, wierszy, do bezbrzeżnych krajobrazów serca. Szaleje miódne echo, prosi niebem w otwarte oczy jabłoni. Wirują nuty i pszczoły. Jazgot wróbił wcześniej budzi każdy dzień. A kwiaty? Pobłogosławione przez słońce, zapełniają puste dłonie i puste miejsca po wyblakłych kolorach.

A gdy nam się wszystko, co wiosenne opatrzy, osłucha, gdy przewietrzymy zakamarki duszy, odwiedzimy ulubione miejsca w lesie, w parku, nad jeziorem – znów zapanuje szara codzienność. Czy to oznacza, że skończyła się magia? Ależ skąd! Tak naprawdę, to magia jest w nas. Wiosną ją tylko wyzwala. Nie pozwólmy, aby zwykłe dni odebrały nam radość przebudzenia z zimowego snu. Ukryjmy głęboko w kieszeni pierwszy fiołek, czyjeś dobre słowo, leśną konwalię, podarowany uśmiech. To przeciwieństwo wiosenne talizmany. I pamiętajmy: Nie tylko Pierwszy Dzień Wiosny, ale każdy dzień jest czymś niezwykłym! Dlaczego? Bo jest początkiem naszych myśli i uczuć. Jest jak czysta, nie zapisana karta. Każdego dnia możemy coś zacząć lub dokończyć, zmienić w sobie, obok siebie. Możemy okazać dobro, ciepło i czułość drugiemu człowiekowi. Zawsze jest coś do odkrycia, nauczenia się. Nigdy nie dość pracy nad sobą, refleksji, przebaczenia...

Wschodnie przysłowie powiada: *Nie możesz zatrzymać żadnego dnia, ale możesz go stracić.* Nie zapomnijmy o tym. Dopóki wstaje słońce – istniejemy jedyni, niepowtarzalni ze swoimi wadami i zaletami. Powitajmy Wiosnę jak kogoś bliskiego. Zaufajmy jej! Zaufajmy życiu!

Danuta Olczak



## Spacer do dworku Zofii Urbanowskiej

Jest wiele urokliwych miejsc na konińskiej Starówce. Są nawet takie domy, lub tylko ślady po nich, które wywołują różne wspomnienia o ludziach i zdarzeniach. W czasie spaceru z wnukiem po Koninie zawsze staram się przekazać jak najwięcej wiadomości o mieście z okresu mojego dzieciństwa, ale pieczołowicie przechowuję w pamięci tylko dobre wspomnienia.

Wojtuś już w czasie śniadania przekonywał mnie, że trzeba koniecznie odwiedzić w parku zwierzęta. Zgodził się jednak, że dzisiaj pokażę mu uroczysko, w którym kiedyś mieszkała Zofia Urbanowska – powieściopisarka okresu pozytywizmu, już trochę zapomniana przez mieszkańców Konina. Tu, w tym domu kiedyś mieściło się moje przedszkole, dlatego ma on dla mnie wartość sentymentalną.

Zofia Urbanowska urodziła się w 1848 r. we wsi Kowalewki niedaleko Konina. Jeszcze w dzieciństwie wraz z rodzicami przeniosła się najpierw do domu dziadków w Laskówcu, a później do zakupionego dworku przy ul. Ogrodowej w Koninie. Ukończyła Gimnazjum Sióstr Urszulanek w

Poznaniu, a w 1872 r. zdała maturę. Rozpoczęła współpracę z „Gazetą Polską” i napisała swoją pierwszą nowelę „Znakomitość”.

Ogromną rolę w jej życiu odegrał pobyt w Warszawie, praca w redakcji „Gazety Polskiej”, przyjaźń z Deotymą {Jadwigą Łuszczewską} autorką powieści „Panienka z okienka”. Z tego okresu pochodzą powieści dla młodzieży, m.in. „Cudzoziemka”, „Gucio zaczarowany”, autobiograficzna powieść „Księżniczka” wyróżniona w konkursie literackim, a także „Róża bez kolców”.

Do rodzinnego dworku powróciła w 1910 r. Napisała powieść „Złoty pierścień”. Za cały dorobek literacki, publicystyczny została odznaczona w 1920 r. „Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta” i „Złotym Wawrzynem Literackim „Polskiej Akademii Literatury”.

W 1930 r. przyznano jej Honorowe Obywatelstwo m. Konina.

W ostatnich latach życia Zofia Urbanowska za opiekę nad sobą przekazała Zgromadzeniu Sióstr Opatrzności Bożej dworek z ogrodem, zachowując dla siebie mieszkanie na piętrze. Zmarła 1 stycznia 1939 roku w wieku 91 lat. Po wojnie siostry, zgodnie z jej wolą, uruchomiły tu przedszkole.

(dokończenie na stronie IV)



(dokończenie z poprzedniego numeru)

## Pistolet i inne okupacyjne przygody

Historia pistoletu na tym się nie skończyła. Nadal trzymałem go w domu, w szufladzie przykrytego różnymi dokumentami. Problem zaistniał, gdy którejś nocy obudziło mnie walenie do drzwi. Byliśmy sami z mamą, mieszkający z nami brat mamy, wujek Feliks Przybylak, pracował na nocnej zmianie. W drzwi walili żandarmi, wrzeszcząc, że mamy 15 minut na spakowanie i opuszczenie mieszkania – byliśmy wysiedlani. Czasu było mało, ale byliśmy na taki moment przygotowani. Worki z przyszytymi taśmami i wypisanymi adresami leżały gotowe do załadowania (niemiecki porządek). Jednak w głowie kołatała jedna myśl – jak zabrać niezauważenie przy żandarmie pistolet. Ubrałem dwie pary spodni i w momencie gdy żandarm mówił coś do matki błyskawicznie włożyłem do wewnętrznych kieszeni belgijską, zaś w zewnętrzne nakładłem kupę rzeczy pewno zbędnych, ale maskujących jako tako wypchaną kieszeń z pistoletem. Popędzono nas do punktu zbornego przy

ulicy Wodnej. Zastaliśmy tam kupę wcześniejszych przesiedleńców. Były to przeważnie kobiety z dziećmi, ich mężowie już dawno zostali wywiezieni do Niemiec. Oczekiwanie na jakąś decyzję przedłużało się (niemiecka dokładność). Powiadomiony przez znajomych wujek przyjechał się pożegnać oraz przede wszystkim ustalić dokąd zostaniemy wywiezieni. Rozeszła się wiadomość o planowanej rewizji osobistej. Przerażony, znów cudem, przekazałem wujkowi broń – byłem uratowany. Ten nie czekając aż się dowie gdzie nas wywożą, natychmiast się z nami pożegnał i dla bezpieczeństwa szybko odjechał.

Pod barak zaczęły podjeżdżać chłopskie furmanki, ludzie zaczęli się rozjeżdżać do wyznaczonych miejscowości. My czekaliśmy, powodem zwłoki było nasze niemieckie nazwisko – rozpytywali czy mamy w rodzinie Niemców. To na pewno była jakaś szansa, ale wielu ludzi z niej nie skorzystało. Wreszcie na ostatni podstawiony wóz rozkazano nam się

załadować. W siąpiącym deszczu, w ponurych nastrojach udaliśmy się za wozem do Grąblina.

Po trzech tygodniach wróciłem do Konina gnany jedną myślą – wreszcie mój pistolet wróci do prawowitego właściciela, czyli do mnie. Niestety wujek przezornie zakopał go w Brzeźnie i ani myślał oddawać nieodpowiedzialnemu gówniarzowi, teraz zwłaszcza, w ręce broni. Pewno miał rację, ale nie mogłem się powstrzymać od knucia różnych wymyślonych form zemsty. Niepotrzebnie, los sam dokonał wyroku. Wujek wcześniej został gdzieś w terenie komendantem Milicji Obywatelskiej. Którejś nocy na posterunek napadła jakaś zbrojna grupa – rozbroiła milicjantów, zabrała również im mundury. Oczywiście zmieniła właściciela również mój a belgijska kaliber 6,35 mm! Tym razem bezpowrotnie. Chyba już żadna broń nie wzbudzała we mnie tyle emocji.

plk. dypl. (w st. spocz.) pilot  
Ryszard Grundman



## Pałac

Dom nad Wartą, zwany willą lub pałacem Reymonda zawsze działał na moją wyobraźnię. Bogata elewacja, daszki i narożniki zdobione rzezbami. Figurki zgrabne i proporcjonalne. Bliżokość rzeki, szersze mury budynku przy podstawie, sprawiające wrażenie mocnych, przywodzą skojarzenie z filmem „Upiór w operze” – może jakieś podziemne przejście, prowadzące do rzeki?... i koniecznie przystojne, śpiewające po nocach straszdyło.

W czasach swojej świetności dom cieszył pewnie wspaniałym widokiem z okien na rzekę, dzisiaj schowany za wałami przeciwpowodziowymi przywodzi na myśl przygarbioną staruszkę. Napis: PRACA JEST ŹRÓDŁEM POWODZENIA, umieszczony pod rzezbami, nad tarasem, przy dzisiaj-

szym stanie budynku, brzmi dość przynębiająco. Praca, powodzenie i zły los, na który nie ma rady...

Właściciel, Edward Reymond kierował pod koniec XIX w. największą w Koninie fabryką maszyn i narzędzi rolniczych. Uznawany za Niemca, w styczniu 1945 r. opuścił Konin. Wiadomości na ten temat można znaleźć w książce Zygmunta Kowalczykiewicza „Konińskie Epizody”.

Piękny dom niszczeje, a mógłby być ozdobą tej części Konina. Szkoda byłoby, aby zamienił się w rumowisko. W Koninie ciekawych budowli nie ma zbyt dużo.

Podobno „pałacyk” ma już nowego właściciela, a prace renowacyjne trwają. Pozostaje tylko życzenie, aby odnowiono go z większym znowstwem niż stało się to w przypadku dworku Zofii Urbanowskiej.

Mirosława Dimitrow

(dokończenie z poprzedniego numeru)

## O przedwojennej motoryzacji

W latach trzydziestych zdano sobie sprawę z bezpośredniej zależności rozwoju motoryzacji i potencjału obronnego państwa. Zwłaszcza że w Rosji Sowieckiej i w Niemczech przystąpiono do zakrojonych na szeroką skalę działań zmierzających do motoryzacji armii. W wyniku nowej polityki gospodarczej rządu w latach 1936-39 nastąpił wzrost liczby samochodów w kraju o 61,3%. W 1935 r. w Polsce było zarejestrowanych (bez pojazdów wojskowych) ogółem 25868 samochodów i 8305 motocykli. W tej liczbie było 4945 samochodów ciężarowych, 1542 autobusy i 4578 taksówek. Natomiast w 1939 r. było w Polsce zarejestrowanych (także bez pojazdów wojskowych) ogółem 41948 samochodów, w tym 8609 ciężarowych, 2038 autobusów i 5216 taksówek. Wzrosła również liczba motocykli, których było 12061. Tym samym ogółem na 10 tys. mieszkańców tuż przed wojną przypadało nieco ponad 12 samochodów. Dla porównania we współczesnym Koninie, według danych na koniec 2003 r., były zarejestrowane 26462 samochody osobowe, a na każde 1000 mieszkańców przy-

padało wówczas ok. 324 samochodów osobowych.

W rzeczywistości jednak stopień motoryzacji był przed wojną w skali kraju niezwykle zróżnicowany. Podczas kiedy w województwie śląskim przypadało na 10 tys. mieszkańców blisko 38 samochodów, to w tarnopolskim zaledwie 2,2. Natomiast w poznańskim w 1939 r. było średnio 22,1 samochodu na 10 tys. ludności. W skali tegoż województwa ubogi powiat koniński (łącznie z obszarem zlikwidowanego w 1932 r. powiatu słupeckiego) z ponad 200 tysiącami mieszkańców do przodujących w zakresie motoryzacji nie należał.

Zachowany w aktach Starostwa Powiatowego w Koninie i datowany na rok 1935 dokument, w postaci *Wykazu wydanych dowodów tożsamości pojazdu mechanicznego* liczy 139 pojazdów, z tego 29 motocykli. Do kategorii motocykli zaliczano w tym czasie pojazdy o pojemności silnika ponad 100 cm<sup>3</sup>. Początkowo bowiem sporo trudności sprawiała urzędnikom statystyka *rowerów z motorkiem* lub *motocykli rowerowych*, czyli po prostu motorowerów z

silnikiem o pojemności mniejszej niż 100 cm<sup>3</sup>. W końcu zdecydowano się zaprowadzić ich odrębną ewidencję i w 1939 r., w powiecie konińskim doliczono się 98 tego rodzaju pojazdów, z tego 4 w samym Koninie.

Rozwój motoryzacji wyprzedzał w wielu dziedzinach istniejący stan prawny i zmuszał administrację do poszukiwania sposobów okiełznania tego nowego zjawiska. Począwszy od zaprowadzenia systemu ewidencji i kontroli stanu technicznego pojazdów, aż po przepisy ruchu drogowego. Te ostatnie wprowadzono w życie w 1922 r., a w 1927 r. utworzono służbę policji drogowej.

Samochód ciągle pozostawał dla przeciętnego Polaka symbolem nieosiągalnego bogactwa. Coraz częściej jednak traktowany był jako przedmiot działalności gospodarczej, szczególnie w transporcie osobowym. Jednakże żywot ówczesnych przedsiębiorców transportowych nie był bynajmniej łatwy i wolny od biurokratycznej mitręgi, ale to już temat na odrębną opowieść.

Piotr Rybczyński



(dokończenie ze strony III)

Wojtuś z zainteresowaniem patrzył na mały dworek, do którego kiedyś przychodziła jego babcia w wieku przedszkolnym. Starala się odtworzyć z pamięci, jak dawniej wyglądało wnętrze przedszkola: małe, słabo oświetlone pokoje na parterze, śmieszna „wygódka”, skromne meble, regały z pracami dzieci, sporo haftowanych serwetek. Wojtuś zapytał mnie oczywiście o zabawki, ale chyba niewiele ich było, ponieważ nie mogłam sobie nic charakterystycznego przypomnieć. Mocno natomiast utkwił w pamięci ogród, w którym wtedy rosło dużo drzew owocowych, krzewów i kwiatów. Rozciągał się on od ul. Westerplatte [dawniej ul. Ogrodowej] do ul. Kilińskiego [Tamki] wzdłuż ul. Z. Urbanowskiej [dawniej ul.

Piwnej]. Dzieci bawiły się w wydzielonej części ogrodu w pobliżu dworku, gdzie znajdowały się piaskownice, ławeczki, huśtawki i inne urządzenia. Siostry uprawiały blisko domu warzywa, które potem serwowały do obiadu. Czasem posyłały nas po koperek i wtedy nauczyłam się odróżniać koperek od natki marchewki.

Były w przedszkolu momenty stresujące, a nawet chwile grozy, gdy każde z nas musiało przełknąć łyżkę okropnego tranu, który podobno wzmacniał nasze wychudzone ciała i zapobiegał krzywicy. Niektóre dzieci potrafiły „radzić sobie” z tym problemem i nie przetykać tranu. Taką sprytną dziewczynką była moja siostrzyczka, Darka.

Siostry troskliwie opiekowały się

dziećmi. Zwracały uwagę na dobre zachowanie, uczyły szacunku dla rodziców, starszych, przygotowywały dużo przedstawień. Dbaly, by pamięć o Zofii Urbanowskiej była żywa, opowiadały o niej, czytały fragmenty jej książek.

W roku 1962 przedszkole, decyzją ówczesnych władz oświatowych, oficjalnie przestało istnieć, ale wielu rodziców przyprawdzało swoje dzieci do sióstr. Również nasz syn Mateusz przez rok pozostawał pod opieką sióstr, ponieważ do miejskiego przedszkola był za mały. Dworek wymagał remontu, siostry nie posiadały środków finansowych na pilne prace, dlatego sprzedały całą posiadłość prywatnej firmie UNIKON. Nowy właściciel p. Michałewski pięknie odrestaurował dworek zachowując dawny jego wy-

gląd. Ogród uporządkowano, zasadzono wiele dekoracyjnych drzew i krzewów, ogrodzono pięknym parkanem.

Obecnie dworek Zofii Urbanowskiej [bo ciągle nosi taką nazwę] jest własnością miasta i siedzibą Urzędu Stanu Cywilnego.

Spacer z Wojtusiem do dworku, wiadomości przekazywane, a przechowywane przeze mnie głęboko w sercu i pamięci, nastroiły mnie sentymentalnie. Wskazałam wnukowi inne ważne dla mnie miejsca, w których kiedyś stały domy moich koleżanek z ul. Ogrodowej: Halusi Dankowskiej, Emilki

Trenkler, Celinki Szlender, Jagody Kłodziejczak, Ali Kurzawy, Olgi Kucharzewskiej i innych. Tu mieszcila się znana Piekarnia Jaworowiczów, w której nasze mamy piekły smaczne placki.

Gdy dotarliśmy do domu, Wojtuś z tajemniczym uśmiechem powiedział: W tym „zaczarowanym dworku” chyba słyszałem cichutkie rozmowy i śmiech dzieci.

Były to jednak tylko szept i śmiech zakochanych par, które przyszły do Urzędu Stanu Cywilnego ustalić termin ślubu.

Maria Cieślak

**KONINIANA**  
www.koniniana.netstrefa.com.pl  
zdjęcia portretowe: RAD

**ADRES REDAKCJI:**  
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,  
tel. 063 243 77 00, 243 77 03  
Redaguje zespół  
Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina  
ISSN 0138-0893